

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

Impresye

HENRYK ZBIERZCHOWSKI

Impresye

Sonety

Rzeka

Stawy drzemią w spowiciu zielonych obramień.
Cisza — na cień przechodnia, co przez ugor kroczy,
Owce tylko wylękle obracają oczy...
Cisza — sęp zawisł w chmurach bez ruchu, jak kamień.

Przedemną morze kłosów — zanim sierp je utnie,
Żdźbła spokojnie i górnie na polu się złożą,
Nagle łan cały, tknięty niewidzialną mocą,
Zaczyna się kołysać i chylać okrutnie.

I płynie rzeka zboża szumiąca, szumiąca —
Żdźbła z szelestem tajemnym kolebie i trąca,
Przelewa się przez płoty i rowy przydrożne.

Wdziera się hen na wzgórze, falami się spiętrza,
I wali prosto w słońce, co blaskiem przemożne
Dogasa w jasnym łunach, jak hostya najświętsza!

Wniebowzięcie

przyszła chwila twórcza... tysiąc barw słonecznych
Rzuca mistrz rozpętany silną, wprawną dłońią,
Lecz zanim kształt i światło z płótna się wyłonią,
Szuka w duszy wyrazów dzieła ostatecznych.

Tę twarz widział już kiedyś... sennym czarem tknięta,
Jak wizya tajemnicza w duszy się kołysze —
Czy zjawiała się w nocną wczarowana ciszę,
Czy zrodzona w przeczuciu — nie wie, nie pamięta.

Zamęt... dusza się pręży od twórczego szału
I wyrzucona z biegu w tych światach się błąka,
Gdzie z gwiazd złotych, kwitnących kołysze się łąka.

I już nie będzie więcej powrócona ciała —
Serce mistrza zastyga — oko martwe, szklane,
Jeszcze odbija wizye w zaświatach widziane.

Erotyk

Janinie R.

Bądźmy dumni i bladzi! niech nikt nie odkryje,
Jaka w naszych istotach dopełnia się męka!
Jak nieraz dusza blada w oczach nam uklęka,
Ręce łamie i w bólu rozpaczonym się wije.

Byłem, jak ptak.. w bajecznym hen ku gwiazdom locie
Brałem cię, drżącą całą, na skrzydła... pamiętasz?
Hen w dole ziemia cicha, jak uśpiony cementarz,
Nad nami jakieś światy, zatopione w złocie.

Przeto wiem, że w twej myśli już mię nic nie zetrze...
W ciszy nocnej, gdy kwiaty w miesięcznych łzach mokną,
W płaczu deszczów, dzwoniących monotonna w okno,

W bólu drzew konających na jesiennym wietrze,
W mgłach, rozczolganych¹ rankiem po łąkach, jak płótno,
Wyczujesz moją duszę nieskończenie smutną!

Grota

Sklepienie — w fantastyczne pozwijany spłoty
Zwisa las długi, gęsty lśniących stalaktytów.
Krople sączą się cicho ze ścian i ze szczytów,
Tajemnym szmerem wewnątrz napełniając groty.

Przyroda nieożywiona

Szczeliną skalną wpada promień słońca złoty,
Niosąc z sobą łagodne oddechy błękitów.
W kraju wizyj² i czarów, tajemniczych mitów,
Błąka się moja dusza i płacze z tęsknoty.

Dusza

A lzy ze ścian dużymi kroplami się sączą,
Skrząc się w blaskach tęczowych od promieni słońca,
Z łez rosną stalaktyty, zlewają się, łączą,
I znowu las powstaje bez końca, bez końca...
W jego głębiach milczące snują się rozpacz —
Czy to grota tajemna, czy ma dusza płacze?...

Łzy, Melancholia

¹rozczołganych. [przypis redakcyjny]

²wizyj — dziś popr. forma: wizji. [przypis edytorski]

Jesienią

Park drzemie... drzewa, jak schorzałe twarze
Zewsząd zwiędłymi rumieńcami świecą...
Z szelestem szklannym liście zwiędłe lecą,
Patrząc na niebo, co umierać każe...

O! gdzieś na gwiazdach wicher łka rozpacznie
Wskrzyszając zmarłe, zapomniane głosy...
Już brzozy-płaczki rozpuściły włosy
— Wkrótce się obrzęd pogrzebowy zacznie.

Pomiędzy bagno mętne zardzewiałe³
Ścieżki, jak widma przypadły do ziemi,
W pomroku ręce wyciągają białe.

Aż w końcu dwiema liniami jasnymi
W krzyża potworne wyrosły ramiona.
— Chodźmy stąd... cicho... w tej chwili ktoś kona...

Las

Noc jasna... gwiezdne migotaniem gwarna
I przesycona jutrzni światłem białem.
Las swoim cielskiem szarem, skamieniałem
Wrósł w blade niebo, niby chmura czarna.

Wtem drgnęły drzewa dziwną zdjęte trwogą..
Wiatr, co w gałęziach nieruchomie zwiślał,
Wstrząsł się, rozbudził, rozgrał, rozkołysał
I zaczął szumieć posępnie, złowrogo.

Hej! jak konary tłuką się i skrzypią,
Jak szemrze liści rozszalałe morze,
Jakieś się lichy rozhukało w borze,
A liście z wiatrem sypią się i sypią...

I znowu cicho... przebudzone burzą
Tajemną... gwiazdy złote oczy mrużą.

O wschodzie

Mrok gasnął... purpurowe wytrysły promienie,
W zamarłych chmurach budząc wyśnione widzenia
Opustoszałych zamków, potworów z płomienia
I dróg, wiodących w przestrzeń długo... nieskończenie.

Słońce! ku jego blaskom wyciąga ramiona
Tłum ludzi z błędnym wzrokiem i spalona warga,

³zardzewiałe. [przypis redakcyjny]

Jęczy niebo i ziemia utajoną skargą,
Co stapia się z purpurą i w przestrzeni kona.

W takiej chwili ujrzałem upiora-dziewicę,
Idącą w słońce pustką ugorów rozległą
I całe złoto wschodu w jej oczach się zbiegło.

Padłem na twarz!! już zachód pieśń grobów wydzwania,
O spojrzuj! spojrzuj! na mnie ty, której źrenice
Zwiastują wschód słoneczny i męki konania.

Przebudzenie

Z jasnych rozmodleń, cudownych majaków,
Gdzie się uczucia rodzą niewymowne,
Kwiaty tak płoną, jak lampki cudowne
I senność spływa hen z nadgwiezdnych szlaków.

Gdzie dusza leży na wznak w niemej ciszy
Z zapatrzonemi ku górze oczyma,
Dłonie na gwiazdach rozciągnięte trzyma
I jakieś dzwonne, górne szmery słyszy...

Zimny wiew śmierci przebudził mię nagle,
Prysły tęczowe wizje i widziadła,
Ciemność potworne rozpostarła żagle

I przyczajona z mrocznego ukrycia
Jakaś dłoń ciężka na piersi mi spadła...
O! jak się lękam twardej pięści życia...

(I przyszła szara, wieczorna godzina...)

I przyszła szara, wieczorna godzina,
Wszystko w naturze zcichło w jednej chwili...
Zanim się księżyc z poza wzgórz wychyli,
Zasuwa ugor jakaś martwość sina.

Wiatr zmarszczył lekko sennych wód powierzchnię
I między trawy ułożył się na dnie...
Czasem się promień na wód tafle kładnie,
Rozświecili głębie i bez śladu pierzchnie.

Za chwilę światła rozbłysną w tej ciszy
I noc zapali złotych gwiazd miriady...
Tak cicho... zwolna zasypiają kwiaty...

Zda się, że teraz ludzki duch usłyszy,
Jak w sinych chmurach dzień przekwita błady
I jak się rodzą jakieś złote światy.

Modlitwa do duszy

Pani gwiazd złotych i smutku królowo,
W ciemnościach życia do ciebie się modłę,
Żem cię, syn własny, oszukiwał podle,
Udając wielkość myśli piorunową.

Żem był jak pielgrzym, co przez ugor idzie,
Pytając drogi pobladłemi usty,
Żem skrzydła szargał po domach rozpusty,
Chociaż coś we mnie lkało w niemym wstydzie —

Pozwól się tylko odrodzić odnowa,
Bo drzemie we mnie moc huraganowa
I zachowałem niby skarb w tej męce,

Kiedy mię porwie grzechu toń zdradziecka,
Ból — co nad wszystkim załamuje ręce
I niezmacone jasne oczy dziecka.

Sen nocy letniej

Mrok... w oknie maki purpurowe płoną
Rozgranych zmysłów tajemna muzyka,
Czas niby płyty szarawe umyka
Do gwiazd... w dal ciszą i snem rozdzwonioną.

Wzrok nasz moc jakaś opętała dzika,
W twoich źrenicach moje oczy toną...
Jak pod zaklęcia tajemną osłoną
Przestrzeli się od nas odsuwa i znika.

I czułem wówczas, że nam w dusze spływa
Gwiazd spadających jasność migotliwa,
Że jakieś ręce na nas się pokładły,

Jakby z tych światów, gdzie gwiazd skrzy się droga,
Błogosławieństwo spłynęło w nas Boga.
Świt! świt! noc pęka! jak twarze nam zbladły...

Rozkosz

Zrazu uśmiech, westchnienie, lekki uścisk dłoni,
Spojrzenia źrenic pełne tajemniczej treści,
Całus, w którym namiętne pytanie się mieści
I przyspieszonym tętnem biją pulsa w skroni.

Płomiennie żarem oko ślizga się i pieści
Harmoniā kształtów w szału pogrążonych toni,
Lubieżne ciało spowicie w kurczowej agonii
I krótki przyspieszony żądzą jęk niewieści.

Rozkosz! szal! upojenie! w zwartych piersiach dyszy
Ciał poplątanych żądzą święta tajemnica...
A potem wyczerpanie, błoga chwila ciszy,
Sen długi wszystkich zmysłów, uczucie przesytu.

Drobną rączką spłoniony Amor skrywa lica
I puszcza złotą strzałę w bezkresy błękitu.

Kiedy rosy spadną

Krąg wody jakąś niewidzialną ręką
Rzucony między traw sploty na łące,
Całując falą kwiatów stopy drżące
Utworzył w ziemi zatokę małą.

Codzień, gdy róże zapalą się świtu
Przez traw gęstwinę, kwiatów wonne sady
Cisną się rojne owadów gromady
Do zgubionego wśród trawy błękitu.

I zaglądną do nieba ciekawie,
Które na fali pocałunki kładnie
Z ogromnym słońcem zatopionem na dnie.

A kiedy rosy rozperlą się w trawie
Z kwiatów chylących kielichy nad tonią
Spadają krople i dzwonią...

Dajmion

Noc. Cicho... ciemno. Słyszę tylko szklane
Liści spadanie i szmer własnych kroków...
Latarnie z pośród mgły białej obłoków,
Stroją swe głowy w tęcze malowane.

W pustej ulicy ktoś zbliża się do mnie...
Kto to? w mgle kształtów odróżnić nie mogę,
To pies zbłąkany przelata mi drogę —
Znużony jestem ogromnie, ogromnie...

Idę... przedemną kołyszą się w mroczy,
Jakieś ogromne, tajemnicze oczy.
Choć serce pęka — patrzeć na nie muszę...

I iść jak błędny w nocy zwodne sidła,
Gdzie grzech śnieżyste pokala mi skrzydła
I zaprzepaści młodą, piękną duszę!!!

W wagonie

Jedziemy — okna dzwonią — światło lampy chwiejne
Tańczy po brudnych ścianach... mój towarzysz usnął
Tak cicho... Anioł smutku skrzydłami mię musnął,
Turkot kół rodzi arye długie, beznadziejne.

Pozamną jakąś wizya niepewna i blada:
Uśmiechy, zwiędłe kwiaty, królowa tęskniąca...
Na szybach zamarznętych usiadł sierp miesiąca,
Rój myśli powikłanych duszę mi opada.

I jest ich coraz więcej, nachodzą mię tłumnie,
Zrodzone w drganiu światła, w kół miarowym gwarze,
A wszystkie mają cudne, widziane gdzieś twarze...

Tylko zdziwione oczy obracają ku mnie
I z kół melodyą długą, nudną, opętańczą,
W kącie na skraju ławki w żółtem świetle tańczą.

Humoreska

Już świt przesiąkły drganiem światel bladym,
W kielichach kwiatów sennie się przelewa,
Faun jeszcze drzemie, wsparty o pień drzewa,
Rosa mu w włosy świetlny wpięła dyadem.

Wtem elfy, w leśne zadzwoniwszy fiołki,
Gdzie je uśpione rośny dopadł ranek,
Lotny w powietrzu zatoczyły wianek,
Lecąc się suszyć na dębu wierzchołki

I dalej strącać w pustaczey zabawie
Żołędne deszcze na śpiącego w trawie.
Faun przetarł oczy, podźwignął się z ziemi,

Chwytał głaz w dłonie i z uciesznym gniewem
Cisnął w gałęzie... Na kwiatkach pod drzewem
Trzępią się elfy skrzydły złamanymi.

Babie lato

Słońce zwieszzone na samotnej skale,
Dawną potęgę zbierając raz jeszcze,
Rozrzuca pyłów rozświetlone deszcze
Na jasne, czyste, przeogromne dale...

Po łąkach jasną falą się przelewa,
Wzbija pył z kwiatów i upojne wonie,
Między gałęzi złote wplata tonie
I pieści żółtkle, konające drzewa.

Patrz... między liśćmi chwieją się i świecą
Jakieś włókienka złote i pajęczce,
Słońce w sieć nitek cudne wpięło tęcze,

Wiatr je rozrzuca... zrywają się, lecą,
I płyną, płyną hen na łany żytne
Niby marzenia złote... nieuchwytnie.

Feconditas

Chwila zachodu — wśród obłoków wieńca
Dogasa słońce... chmura zwiewna biała,
Jak szept w przestrzeniach nieba skamieniała,
Czeka na przyjście swego oblubieńca.

Słońce, jak glorie na świętym obrazie
Mieni się... pasy rozrzuca pąsowe,
Na pierś jej siania umęczoną głowę,
Stapia się w świętej miłości ekstazie!

Błogosławiona niech będzie moc twórcza!
Pękają kwiaty, wiatr do nieba spiętrza
Pył płodny kwiatów, łany zbórz się złocą...

Ziemia swe łono brzemiennie rozkurcza,
Tysiące istnień dobywając z wnętrza,
Tknięte tworzenia przenajświętszą mocą!!!

Capriccio

Z wieży kościelnej na trwozę dzwon wali,
Mrok nocny głośnym rozkołysał tonem,
Ciemność się kłębi nad bijącym dzwonem
I psów szczekanie dolata z oddali.

Już się pół nieba krwawą luną pali,
Iskry się sypią ponad zbórz zagonem.
Księżyc, wejrzawszy okiem przerażonym,
Płynie pospiesznie na obłoków fali.

Aż tą podróżą zmęczony siarczyście,
W warkoczach wierzby srebrną twarz zaczepia,
Lecz, że mu wrony zagładają w ślepie,

Kryje się w dębu sąsiedniego liście
I długo jeszcze jak ogromna kula
Pomiędzy drzewa srebrną głowę wtula.

Wierzby w polu

Białe, bezkresne pole — pusto, szaro, mętno,
Słońce od białych śniegów za mgłami ośleple,
Patrzy chorą źrenicą na ugory skrzeple,
Gdzie pod szarym całunem kona ziemi tętno.

Tylko wierzby na polu, jak szkielety sterczą,
W jakiejś cichej, rozpacznej pokurczone męce,
Z pod śniegu zamarznęte wyciągają ręce
Z groźbą dla szarych niebios bezsilną, bluźnierczą.

Cichy, samotny cmentarz, wśród śniegowych łąnów
Jakiś orkanu olbrzymi spadły z sinej chmury
Górą śniegu przywalił do ziemi tytanów,

Jeszcze poznać po wydmach cielsk groźne kontury
I jeszcze sterczą w niebo po minionej walce
Długie agonią śmierci pokurczone palce.

Wizya

Noc... przez stłoczone chmurami niebiosy
Ciemność bezkresna sływa na świat cały,
Wiatr jęczy dziko wśród załomów skały,
Niby z otchłani potępionych głosy.

Tam, gdzie ku niebu sterczą gór kolosy,
Ogromne oczy w przestrzeniach się chwiałały
Martwe — świecące jak złote kryształy —
Okropne oczy! Na dole tłum bosy

Nędzarzy zewsząd ciśnie się i tłoczy —
Wrzask — jęki — wycia. Wychudłych tysiące
Ramion wskazuje na źrenice lśniące

Tajemnych oczu — A te wielkie oczy
Mgłą zasły białą i dwie lzy z pospiechem
Spływały w przepaść — — — Tłum zahuczał śmiechem...

Tryumf

Ciemność bez kresu — głusza nieskończona,
Cisza wlokąca zwój długich warkoczy —
Duszość, co wszystko w swoich splotach tłoczy,
Objęły ziemię i niebo w ramiona.

W tem zadźwięczała jakaś pieśń szalona,
To stado wilków stojąc na skał zboczy
Spogląda w wąwóz świecącemi oczu
I wyje dziko — na chwilę pieśń kona.

I znów wybucha beznadziejnie... długo...
Księżyc przedarłszy chmur stłoczonych zwały,
Oświecił wąwóz bladą światła strugą.

Na dnie w szczelinie rozpękniętej skały
Trup leży siny — — — księżyc zczerniał blady,
Ciemno — i jęczą znów wilków gromady.

Wiersze różne

O zmierzchu

Gdy mrok się szary do mej izby wtoczy,
Po kątach wize wyprawiając zradne,
Głowę skroniami na poduszki kładnę,
Zamykam mocno powiekami oczy.

Lecz próżno chciałbym, ciszą kołysany,
Wsiąknąć bez czucia w te mroki i cienie;
Z godziną zmierzchu zaczął swe istnienie
Jakiś świat drugi, tajemny, nieznany...

W powiekach, lekko pod naciskiem drżących
Dostrzegam przestrzeń głęboką i czarną,
W której się zwolna kołyszą i garną
Tysiące kropek złotych i świecących.

Jedna za drugą w szereg się układa,
A potem w przestrzeń na krawędziach siną
Zwolna całami gromadami płyną,
Jakgdyby ptactwa wędrownego stada.

Czasem, gdy szereg przypłynie ostatni,
Znów czarna mroków zamyka się ściana,
I tylko jedna gwiazda zapomniana
Przemknie z pośpiechem do gromady bratniej.

Może to płyną owe gwiazdy święte,
Które duch Boży rozpałił nam w duszy,
A noc wieczysta blask ich cudny guszy,
Że gasną dla nas obce, niepojęte?

Może to płyną lzy niewypłakane,
W nocach bezsennych i długich poczęte,
I nasze dole tułacze, przeklęte,
Na wieczną drogę i na ból posłane?

Może to bóstwo zsyła nam przestrozę,
Że, gdy z wieczności głuche padnie słowo,
To trzeba z dumnie podniesioną głową
Zawsze gotowym być na długą drogę?

Napróżno chciałbym, ciszą kołysany,
Wsiąknąć bez czucia w te mroki i cienie;

Z godziną zmierzchu zaczął swe istnienie
Jakiś świat drugi, tajemny, nieznany...

Dzwon

Edward Grieg, Op. 57. Nr. 6.

W dal siną, bezbrzeżną ma dusza się wlecze,
Stargana wichrami i burzą jesieni...
A za nią się snują rozpaczę człowiecze
I jęk jakiś głuchy i echa przestrzeni.

Rozpięty nad światem niebiosów strop szary,
Jak dzwon tajemniczy w pomroków kościele,
Olbrzymiem swem cielskiem zakrywa obszary,
Gdzie pustka na martwych ugorach się ściele.

Ma dusza się wlecze w dal siną i ciemną,
A kiedy ku górze wyciągnie ramiona,
Uderza o dzwonu kopułę tajemną
I znowu upada na ziemię i kona...

A wówczas dzwon świata trącony u szczytów,
Wydaje dźwięk cichy, co rośnie i rośnie,
Przybywa mu jęków i płaczów i zgrzytów
I huczy w tej próżni stężalej rozgłośnie.

Rozchodzi się w kręgi, w akordy się zmienia,
Aż w końcu melodyą rozpaczną wybucha,
Co kryje w swej głębi tragedię istnienia
I ból bezsłonecznych walk i wzlotów ducha.

Drga fala... w niej dźwięków kołyszą się krocie,
A pieśń, niby sępów żarłocznych gromada,
Z tajemnym poszumem czarnych skrzydeł w locie
Na duszę mą z bólu konającą spada...

Dźwięk gaśnie! — dzwon świata zasępił się szary
I znowu w dal siną, bezbrzeżną i ciemną,
Ma dusza się wlecze przez głuche obszary,
Pod dzwonu olbrzyma kopułę tajemną...

Rój płynie blady

Rój płynie blady
Rój długi... długi
Z tajemnym graniem
Kaskady,
Co wody złociste strugi
Sączy w promieniach słońca,
Z szeptem rozkołysanych zbóż
I serca łkaniem —

Rój płynie blady
Gwiazd zgasłych w mrokach i uwiędłych róż
Bez końca....

Rój płynie blady
Rój cichy... cichy —
Świateł migocą
Miriady,
Mistycznych kwiatów kielichy,
Strugą oblane złotą,
Kołyszą się, jak fale mórz,
Miesięczną nocą...
Rój płynie blady
Myśli zagasłych i starganych dusz
Tęsknotą...

Do gwiazd

P. Maryi i Cecylii B.

Chrystusa umęczone ciało,
Nad którym cicho szumiały
Ścięte gałązki jodły
Od blasków świec i dymu kadzidel
Dziwnie żółtko i ściemniało...
A ludu żarliwe modły
Z cichym szelestem poruszanych skrzydeł,
Jak obłok przez chwilę w powietrzu się chwiały.
Aż zawisłszy pod łukiem sklepienia,
Nieruchomie — stężały.
I była chwila wielkiego milczenia
W tem zachwyceniu dusz nadziemnem,
Tylko na dworze brzoza umarła
Z szemraniem tajemnem,
Zwiędłemi gałązkami o ścianę się tarła...

Resurrexit! huknęły wielkie dzwony,
A na to hasło
Pięć małych dzwoneków przeraźliwie wrzasło
Zbitą gromadą...
I grają zrodzone z spiżu tony,
Porwane wichru zawrotną falą,
Pełzają po szczytach gór i borów,
Aż wkońcu się kładą
Na wyciągniętą dal ugorów
I gasną w trawach siną pochłonięte dałą...

Mrok już zapadał...
Od sinych borów uroczysk i gór
Zwolna, tajemnie się skradał.
Na ziemi długie kładły się cienie
Od chmur,
Co zbierały się groźnie na nieboskłonie.

I tylko w jednym miejscu słońce zachodzące
Złotem i purpurą lśniące
Przedarło wyłom w chmur czarnej oponie
I takie cudne powstało jaśnienie
W tej nieba stronie,
Jakby daleko... w błękitach tam,
Gdzie chmur opona przedarła się szara,
Druga się jakaś spełniała ofiara...
I czułem wówczas, jak stopiona w ciszy
Wzleciała dusza moja z tych padolów
Do rozpiętego w górze nieboskłonu
Z palcem na ustach... czy za błękitami
Chociaż słabego echa nie usłyszysz
Z tych cudnych dźwięków niebieskiego dzwonu,
Kołysanego rękami
Aniołów...

Moja zemsta

Jadwidze Mrozowskiej.

Było to śliczne, kochane, malutkie.
Nie znałem dotąd kobiety podobnej.
Uśmiech nie schodził z jej twarzyczki drobnej,
Poco się smucić — życie jest tak krótkie.
Coś z rozświetlonych motyli skrzydełek,
Coś z gnanej wiatrem niteczki pajęczej,
Z promyka słońca, koloru tęczy —
Prawdziwy kociak, źle mówię dyabełek!
Raz kiedyś słuchał jak mi w duszy śpiewa,
Jak złote myśli nachodzą mię tłumnie,
Rzekła zwracając duże oczy ku mnie:
Pan nie wrażliwy... a mię to tak gniewa! —
Co? co? słyszycie! Boże! wielki Boże!
Mnie, który gwiazdom wypowiadam wojnę,
Mnie, którym w duszy wykołysał morze
Olbrzymie, groźne, wiecznie niespokojne.
Mnie, który jeden nad kwiatami władam,
Słyszę sen lilii, kiedy w wieczór rośny
Zamyka kielich — ten dzieciak nieznośny
Pragnie odebrać wszystko, co posiadam.

Zwołałem elfy, krasnoludki, gnomy,
Duchy zrodzone w zmierzchu i psotnicze
I wszystkie inne, których nie wyliczę,
Świat ludziom obcy, a dla mnie znajomy.
Co chwila postać nowa się wylania,
Siadły na brzegu mojego posłania.
I rozpoczęły się dziwne narady...
Wiatr jęczy... deszcze dzwonią w moje okno
Czuję, jak drzewa gdzieś na dworze mokną,
Jak za chmurami księżyc kona błądy,
Knujemy zemstę okrutną!
Duchy choć rozmów naszych nikt nie słyszy

Coraz to senniej, tajemniczej, ciszej
Szeptają w ucho... sen idzie... jak smutno.

Poszedłem w pomoc wszystkich duchów zbrojny
Dziwnie wzburzony, z bijącymi tętny.
Już w progu spotkał mię jej wzrok spokojny,
A taki jasny i taki ponętny,
Jak dno jeziora, gdy świt na nie padnie,
Zakłętę skarby odkrywając na dnie.
I byłbym zemścił się, lecz duchy psotne
Na jej spojrzenie wszystkie mię odbiegły,
Jedne w jej oczach jak szatanki legły,
Kusząc... a inne rozbawione, lotne
We sploty włosów ukryły się tłumnie,
Błyszczące oczko obracając ku mnie.

I nie wiem — pewnie Amora to sprawka,
Który je na mnie uzbroił tajemnie,
Bo rozpoczęła się dziwna zabawka,
Tysiące luków zwróciło się we mnie
— Wiercie mi — mogę przecież na to przysiąc —
I złotych strzałek wyleciało tysiąc
Prosto w me serce...

Nie wiem dokładnie, co się potem stało,
Kiedy skończyła się zabawa pusta —
Dość, że mi grały archanielskie głosy,
Dość, że całował włosy, oczy, usta,
A potem znowu usta, oczy, włosy
I że mi było wiecznie mało, mało!!!

Regina Autumni

Idzie już! — patrzcie jak stąpa tajemnie
Po miękkich mchach...
Czasem po drodze trawę stopą zemnie
A kwiatom strach!!!

I jęk powstaje uporczywy, cichy,
Jak kiedy miesiąc w dziuple brzozy uśnie,
To kwiaty więdną, tuląc się w kielichy,
To wiatr w łzach rośnych śpiące kwiaty muśnie.

Czasem potrząśnie drzewa skamieniałe
W przedzgonnych snach,
Liści uwiędłych lecą roje całe,
A drzewom strach!!!

Tylko w jarzębin purpurowych pękach
Przekwita jeszcze gorące wspomnienie
Tych ranków, słońcem złotych nieskończenie,
Gdy las w ptaszęcych rozgrał się piosenkach.

Pośród ugorów tuman biały tańczy,
Rdza sina stawy powlekła po wierzchu,

Nocą jęk wichru wstaje opętańczy,
Widma po polach włóczą się o zmierzchu.

W pożółkłych wierzbach, marzących o wiośnie.
Drzemie bolesna, tajemnicza skarga
Na ciemne noce, w których wicher targa
Długie warkoczki liści bezlitośnie.

Przyszła już? kiedy? błękit zbladł jak płótno,
Wiatr tańczy w mgłach —
Gdzie słońce? tyle chmur... O jak mi smutno
A duszy strach!!!

Noc świętojańska

Idzie Sobotównej.

Niech wszystko będzie ciche i bezgłośnie,
Jak leśnych jezior zakłęta bajeczność,
Niech wszystko będzie jasne, jak lzy rośnie,
Kiedy w nich miesiąc rozkocha się srebrny,
Niech wszystko będzie nieznanne, jak wieczność,
Święte, jak duszy jakiś wzlot podniebny,
Niech wszystko będzie ciche i bezgłośnie!

Zaczną się noce ciche, świętojańskie,
Kiedy się księżyc na liściach rozświetli —
Z karczmy, gdzie gody lud obchodzi pańskie,
Leci głos jasny skrzypiec i basetli,
Potrząsa w drodze falę żyta ciemną
I echem wpada w boru toń tajemną.

Co to? z kąd dźwięk ten, co skonał tak z cicha?
Czy śpiąca ziemia przez sen tak oddycha,
Czy noc tak cudnie przemówiła gwiezdna,
Że jakiś urok w jej głębiach się ziści?
Kwiaty otwarły niespokojne oczy,
A blask miesięczny przedarłszy gąszcz liści,
Zapalił nagle leśne uroczysko,
Wywroty pienne i jezioro bez dna,
Gdzie wieczna ciemność po falach się toczy.

Patrz! w dziuple brzozy, coś jak oczy błyska,
Patrz! pajęczyny świecą jak obrączki,
A pień spróchniały, jak leśny kaganiec,
Błędne ogniki wzięły się za rączki
I w mrokach dziwny rozpoczęły taniec.
A na mchach leśnych cudownie się złoci
Zakłęty czarem, złoty kwiat paproci...

O pani moja jasna! o królewno!
Ukoję ciebie moją zwrotką śpiewną,
Życie ci czarem bajecznym rozłożę,
W te jasne, złote, świętojańskie noce!
W ciszy uroczysk, w łzach miesięcznych, lśniących,

Wśród drzew srebrzystych — tęczowych pajęczyn,
Wśród błędnych ogni i ech konających
Prześnimy chwile cudowne zaręczyn...

Niech wszystko będzie ciche i bezgłośnie,
Jak leśnych jezior zakłęta bajeczność,
Niech wszystko będzie jasne, jak lzy rośne,
Kiedy w nich miesiąc rozkocha się srebrny,
Niech wszystko będzie nieznane, jak wieczność,
Święte, jak duszy jakiś wlot podniebny,
Niech wszystko będzie ciche i bezgłośnie!

Wicher rozpętany

Nikt nie zgadnie, jak i kiedy przyszedł na ten świat,
Czy po falach księżycowych z gwiazd na ziemię spadł,
Czy się podniósł z bagien leśnych i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go długi sen,
Czy go zrodził bór, co nocą w czarnych głębiach huczy,
Czy ten ugór martwy, siny, gdzie się Rozpacz włóczy.

Przypadł cicho w trawy śpiące i jak martwy legł,
Objął w uścisk boru mroczny, skamieniały brzeg,
Las drgnął tylko, tak jak człowiek zbudzony ze snu,
Kilka liści spadło z wolna na podłoże mchu,
Szmer poleciał w górę — w górę: ponad mroczną tonią
Słychać w ciszy szelest skrzydeł i gwiazdy gdzieś dzwonią.

I rozbudził naprzód tłumnie wszystkie trawy łąk;
Fala kłosów kołysanych rozlewa się w krąg,
Coraz dalej, coraz szerzej płynie szmerów chór,
Aż uderza huczną falą o uspiiony bór.
Pochwyciły hasło wiatru dęby, sosny, jodły —
Las i łąka wzniosły w niebo przedwieczne modły.

Las

A szumie mi — szum melodio przebudzonych drzew!
Chłonę w siebie niby w muszlę ten rozgłośny śpiew.
Jakiś dech rozpiera piersi — hen w gwiazdzisty łąn
Rzucam myśli, dźwięki, słowa w rozhukany tan,
I pieśń śpiewam — taką górną, wielką, niepojętą...
Czuwaj duszo! Już się zbliża tajemnicze święto!

Wicher porwał się jak wściekły z wąwozów i traw,
Wzburzył do dna i zamącił śpiący leśny staw,
Rozbił brudną smugę wody o skalisty zrąb,
jak kula wpadł znienacka w ciemną boru głąb.
Cicho... cicho... jakieś drganie po drzewach się włóczy,
Tylko w głębiach coś się kłębi, przewala i huczy!

Wypadł z gąszczy taki mocny, potężny i zły,
Strącił z włosów rozwichrzonych gałęzie i mchy,
Obtarł cielsko o murawę, wyprężył się, wzrósł
I pochwycił w obręcz wirów kępę białych brzóz.
Hej! deszcz liści wątłych, srebrnych, z wiatrem leci... leci...
«Zmiłuj, zmiłuj się nad nami!» — szeplenią jak dzieci...

Drzewo

Potem wstrząsnął wierzby chore, zdarł gałęzi pęk,
W próchnie drzewa wstaje cicho jakiś szklany jęk,
Pręty tłuką się o siebie, szara kora drży,
A po liściach spływa woda niby brudne lzy.
Drzewa wiją się i jęczą w beznadziejnej walce
I do nieba wyciągają pokurczone palce.

Duszo! duszo! skądże w tobie taka wielka moc,
Żeś zbudziła wiatr uśpiony w tę przeklętą noc,
Że się podniósł z bagien leśnych i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go długi sen,
Że go zrodził bór, co nocą w tajnych głębiach huczy,
I ten ugór martwy, siny, gdzie się Rozpacz włóczy.

Wiatr

Hej! grajcie mi, moce ziemi — bom wielki — bom Pan!
Cisnę gwiazdy jednym rzutem w rozhukany tan,
Będę pieścił słuch łoskotem spadających brył,
Cały w oczach płomienisty od nadmiaru sił,
I zaśpiewam pieśń ogromną, górną, niepojętą:
Duszo! duszo! wielkie święto! — tajemnicze święto!...

Nikt nie zgadnie, jak i kiedy zamarł po nim ślad,
Czy po falach księżycowych hen na gwiazdy spadł,
Czy powrócił do uroczysk i zmurszałych den,
Gdzie na wodnych traw podłożu zmógł go ciężki sen,
Czy go wchłonął bór, co nocą w czarnych głębiach huczy,
Czy ten ugór martwy, siny, gdzie się Rozpacz włóczy!

Uroczyska

Na dnie odmętu
Wśród wiklin i trzciny roztoczy
Wplątane w mchy podwodne,
Spadłe z firmamentu
Lśnią się gwiazd oczy
Pogodne...
Zielona poświata miesiąca
O wód tafle trąca
I welon biały,
Srebrzysty na liściach zwiesza.
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Hen z sonej dali
Idzie już — idzie wieczna tułacznica,
Ugorów rozpaczna cisza...
Ślizga się po srebrnej fali,
Oblanej strugą księżycą,
Pień dębu objęła zmurszała...
Po trawach depce.
A teraz w liściach wierzb coś szumi i szepce.
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Od mgieł, co jak białe płótno zwiesza,
Tajemne się tworzą jeziora i stawy

Na łąkach... Na wierzchołkach borów,
Opustoszałych ugorów
Rozpaczna cisza
Kołysze drzewa i trawy,
Wśród trzcin pełza po cichu,
Aż w końcu w lilii kielichu
Cała się kładnie...
Pod ciężarem
Przegina się w wodę kielich biały
I lilia, zwiesiwszy pierś, kona,
Otruta moczarem,
Patrząc w gwiazdy na dnie...
— Cicho... Zaraz liście będą spadały.

Moczary

Wśród splotu wiklin, trzciny i wysokiej trawy
Tajemny moczar leśny wody swe rozlewa.
Nad brzegiem chylą czoła zadumane drzewa
I toń mroczy się szara wśród liści oprawy.

Zachód! Przez drzew warkocze blasków snop różowy
Wśród mgły na wodach mętnych z wolna się rozlewa.
Nad brzegiem chylą czoła przebudzone drzewa,
Skąpane w jasnych blasków koronie tęczowej.

Na liściu lilii płynie przez wodne obszary
Rusałka — wiatr jej włosy złociste rozwiewa.
Nad brzegiem chylą czoła zadziwione drzewa
I z wolna całą ziemię mrok ogarnia szary.

Las, Wieczór

A w martwej wodzie bagna obudza⁴ się życie;
Jakiś szmer tajemniczy wkoło się rozlewa,
Nad brzegiem chylą czoła niespokojne drzewa,
A wiatr w trzcinach i trawach przemyka się skrycie.

Rusałka na dnie samym skulona w kielichu
Z żrenicą w dal wpatrzoną słucha, jak wiatr śpiewa.
Nad brzegiem chylą czoła załęcznione drzewa,
Coś się rusza i pluska na fali po cichu.

Niebezpieczeństwo, Potwór,
Otchłań

Z głębiny wynurzają się straszne poczwary,
Z oślizgłych ciał z szelestem woda w toń się zlewa.
Nad brzegiem chylą czoła przerażone drzewa —
Znow cicho... tylko w głębiach burzą się moczary.

A rusałka pobladła w liliowym kielichu
Zapada w tonie mętne... Wiatr mgły nocne zwiewa
Nad brzegiem chylą czoła opuszczone drzewa —
I trzciny nad moczarem coś szemrzą po cichu...

⁴obudza się — dziś: budzi się. [przypis edytorski]

Impresye

Iwan Trusz⁵

Pejzaż, impresya — to pole, na którym rozwija się twórczość Trusza. We wstępie więc przedewszystkiem będę się starał określić, co wyczuwam pod impresją w sztuce.

W naturze dzieją się rzeczy cudowne i dziwne.

Czy widzieliście kiedy zachód słońca w dzień pochmurny? Cała ziemia tonie w melancholii umierającego dnia; tam gdzie się tego najmniej spodziewano, pęka kir chmurnych zwałów i przez przeźroczyste skrzydła zmierzchu przedzierają się nagle całe potoki brudnej, złowrogiej purpury. A wielka samotna chmura na krawędzi nieba dostaje dziwnych rumieńców, otacza sięłotym rąbkim światła i rzuca z poza siebie na pół nieba olbrzymie główne w kształt świetlanych pasów. Dziwna hostya, trzymana niewidzialnymi rękami nad dniem umierającym. I zaczyna się symfonia wieczoru. Liście drzew trzęsą się z jakimś cichym lękiem, w przecuciu czegoś, co zaraz nastąpi... O nocy ciemna, smutna i bezgwiezdna! jak pająk olbrzymi, gdzieś zza światów zasnuwasz niebo chmurnym mrokiem i lękiem napelniasz serca usypiających kwiatów!

Od pół i ugorów zbliża się powoli — dziwny i straszny pochód — jakaś siność przestrzeni, a przed nią rwie się ku niebu wiatr wieczorny. Strasznie!! cała natura czeka na coś, co będzie wyzwoleniem, co pozwoli usnąć bez trwogi i drzewom targanym wiatrem, i kwiatom patrzącym z obawą na groźny pochód sonej przestrzeni i ptakom, co wtuliły już główki w pierze, a jeszcze od czasu do czasu spoglądają na cichy, święteczny lot nietoperzy.

Nareszcie!! Drzewa zakołysały się żywiej — wiatr ucichł i przypadł bez ruchu w jar przydrożny, kwiaty rozpląkały się rosą w dziecinnej radości, a żaby uderzyły po łąkach i moczarach w wielki, bijący chór: O, przyjdź, przyjdź kochanku nasz! z trwogą i utęsknieniem czekamy na twoje srebrne pieśczęty!

Groźna hostya blednie, szarzeje, wsiąkając w mrok przestrzeni. Z przeciwnej strony nieba poczyna się posuwać jakaś jasność srebrna, zielona i senna, aż w końcu wypada z chmur kula księżycy, rzucając na stęsknione drzewa, kwiaty i wody miękkie, długie a ciche pocałunki. O, nocy jasna i miesięczna! jak cicho tulisz się do piersi matki ziemi i rozlewasz wkoło srebrny senny czar! Cyt! czy słyszysz oddech ziemi! jeszcze od czasu do czasu spadnie z dźwiękiem kropla rosy i zadzwoni w kielich kwiatu, liść drgnie przez sen i gwiazda cichutko spadnie w ciemny bór. Sen... sen...

W naturze dzieją się rzeczy cudowne a dziwne; obok zjawisk zwykłych, codziennych, zrozumiałych dla wszystkich i koniecznych, odbywają się ciągle jakieś zdarzenia nadziemskie, pełne mistycznego czaru, skomplikowane i subtelne, które wyczuje tylko poeta, mocą tej wyższej danej mu przez bóstwo zdolności obcowania w najskrytszem, a najświętszem sanktuarium natury. Dla rozkołysanej fantazyą duszy nie będzie wtedy miejsca do obserwacji ścisłej. Zjawiska takie dadzą się tylko wyczuć, pierwsza fala wrażeniowa, choć niedokładna, jeszcze nieokreślona, jest decydującą — ona jest łącznikiem między naszą duszą, a zjawiskiem; ona odtwarza nastrój pewnej chwili.

W taki sposób rozumiem impresję.

Będzie to sztuka tworzenia najbardziej bezpośrednia, a trudna bajecznie dlatego, że nie ma w impresji szczegółów mniej, lub więcej ważnych; powstaje tylko jedno wrażenie, jedna chwila niejasna, ale objawiona. Chodzi tu głównie o stopień odczuwania artysty, a dalej o zdolność narzucania tych samych objawień i wrażeń duszy widza. Jest to proces ogromnie skomplikowany, jeżeli przyjmiemy jeszcze za pewnik, że każda barwa odpowia-

⁵Iwan Trusz — jeden z najmłodszych malarzy Akademii krakowskiej, urodził się w Wysocku (koło Brodów) w r. 1869. Ukończywszy gimnazjum w Brodach, udał się na studia malarskie do Krakowa, gdzie przepełdził pięć lat. Po krótkim pobycie w Monachium, zniechęcony suchą niemiecką metodą nauki i stosunkami, w których łatwo bardzo można zgnuśnić i stać się wiecznie studującym artystą (rodzaj bursza niemieckiego), powrócił znów do Krakowa i tam skończył studia pod okiem Stanisławskiego. Po krótkim pobycie w Kijowie osiadł Trusz na stałe we Lwowie. [przypis autorski]

da pewnemu tonowi uczuciowemu. Dlatego reguł żadnych stawiać nie można, a intuicja artysty i widza decydują o stopniu każdego wrażenia.

Wogóle spotykamy między artystami wszystkich działów sztuki dwa zasadnicze typy. Pierwszy typ, to myśliciele z wzrokiem skierowanym zawsze w głąb własnej duszy, gdzie śledzą pilnie wszystkie najdrobniejsze nawet przejawy, ludzie w wiecznej pogoni za nieuchwytnym symbolem, nie mogący nigdy rozeznąć różnicy między zjawiskiem, a złudzeniem, skąd największe dla nich źródło pesymizmu. To poeci smutku, melancholii i gryzącej tęsknoty. Ci, jeżeli tworzą nawet coś jasnego, tęczowego, to będzie to sztucznym, przez pryzmat łez gorzkich i serdecznych przepuszczonym. Drudzy to ludzie, którzy odwracają wzrok od nocy, wypatrują wiecznie słońca — zakochani we wszystkim, co piękne — poeci słonecznych zachwytów i cichej ekstazy, którzy wśród największego gwaru ludzkich burz i namiętności, przechodzą spokojni, szukając kwiatu paproci, albo lilij wodnych. Zachowali oni w duszy pewną dziecięcość i naiwność uczuć i wraz z św. Franciszkiem z Asyżu, układają tylko pieśni jasne, słoneczne:

Bądź pochwalony, Panie mój, ze wszystkimi twory,
A w szczególności z panem braciszkiem słońcem.
Który dzień niesie i sobą nam świeci,
Jest piękne jasne i roznieca blask wielki
I twem, Najwyższy, jest wyobrażeniem.

Bądź pochwalony Panie mój, przez braci naszych, miesiąc i gwiazdy,
Któreś na niebie umieścił jasne i cenne i piękne.

Bądź pochwalony Panie mój, przez braciszka wiatr,
Przez powietrze i przez czas chmurny i pogodny i jakikolwiek inny,
Które mi wszystkim stworzeniom dajesz pokrzepienie.

Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrzyczkę wodę,
Która jest wielce użyteczna i pokorna i cenna i czysta.
Bądź pochwalony, Panie mój, przez braciszka ogień,
Którym rozjaśnia się noc
I który jest urodziwy i krzepki i mocny.

Bądź pochwalony, Panie mój, przez siostrę ziemię,
Która nas utrzymuje i żywi
I wydaje przeróżne owoce i kwiaty barwne i zioła.⁶

(Przekład E. Porębowicza).

Kto doszedł już do takiego ukochania natury, dlatego każda trawka, każdy kwiatek polny, nie jest obojętnym, ten wie, że na szmacie metrowym łąki dzieją się rzeczy cudne i ciekawe: całe tragedye i sielanki mrówek i owadów, dla których ten kawałek łąki jest borem olbrzymim i przepastnym, kretowisko górą niebotyczną, otwór pozostały po żerdzi do siana przepaścią, a mały zbiornik wody deszczowej jeziorem królewskim. Wtedy wytwarza się między duszą ludzką, a duszą natury tajemniczy i dziwny związek — natura odsłania ze swego oblicza tajemniczy welon Maji, a człowiek staje się uczestnikiem cudownych i nieprzezuwanych misteryj. Na tym punkcie odbywa się najbliższe, możliwe zbliżenie się człowieka do bóstwa, choć jeszcze zawsze jak na sławnym fresku Michała Anioła, między dłonią Wszechmocnego Boga, a proszącego człowieka, pozostaje niczem nie zastąpiona przestrzeń.

Trusz ukochał naturę. Zna on jej wszystkie tajniki i cuda; rozumie radość słonecznego południa, kiedy wszystko tonie w roztopionym zlocie promieni, iskrzy się brylantami

⁶Bądź pochwalony (...) i zioła — fragment *Pieśni słonecznej* (nazywanej również *Pochwałą stworzenia*) św. Franciszka z Asyżu. [przypis edytorski]

iskier, odczuł rozmarzenie i czar wieczoru, kiedy na rozkołysanych łąkach ułożą się fioletowe smugi światła, a cała natura popada w spokojną zadumę i ciszę, zna tajemnice drzew i kwiatów, dziwny czar moczarów leśnych, co kryje w swej głębi nieba kolory, mchów rdzawy odbłask i drzew chwiejne odbicie. Trusz jest poetą słońca, drzew i kwiatów. Zapytany, dlaczego nie maluje nigdy postaci człowieka, tak jakby umyślnie unikał tego, co było treścią dzieł największych epok i najgenialniejszych mistrzów, odpowiada z uśmiechem: Człowiek na obrazie to „plama”. — Tak bardzo zakochanym jest w swoich liliach, dzwonicach i chryzantemach. A przytem ta olbrzymia intuicja w dobieraniu tematu i w pomysłach świetlanych.

Widzimy u niego rzeczy te same, a więc kwiaty, łąki, moczary, a przecież zawsze całkiem inne, zawsze w innym oświetleniu i w innym momencie. Ta intuicja, to już prawdziwy dar Boży, którego nie można nabyć żadnymi studiami i żadną pracą. Trzeba tylko umieć patrzeć i odczuwać...

Przepatrzmy teraz parę obrazów Trusza. Jeden zwłaszcza niezrównany w kolorystyce, przykuwa ogromnie do siebie oczy i duszę widza:

Na pierwszym planie mały jar porośnięty kępami nadrzeczными — to punkt obserwacji. Przed okiem widza rozlewa się szeroka wstęga. Bug wije się kilkoma skrętami, aż w końcu ginie gdzieś w sianej niezmierzonej dali. — Zachód słońca. W rogu poza kępami drzew pali się ognisko gasnącego słońca; z tego właśnie punktu, gdzie jest największe skupienie światła, pada oświetlenie na wstęgę rzeki, na szumiące nad brzegiem kępy, na całą olbrzymią dolinę, która zda się nie ma granic, ni końca. Niebo z milionem barw i półcieni, blade zielone, seledynowe po stronie zachodu ciemnieje, dostaje głębokich refleksów, aż w końcu kończy się fioletem nadchodzącego zmierzchu — pył słoneczny tęczyowy, zapruszył powietrze, unosi się nad całą doliną, bije kończynami tęczyowych skrzydeł o widnokrąg i stroi łąkę świetlną koronką — rzeka chłonie w siebie wszystkie blaski nieba i powietrza, iskrzy się jak roztopiony brylant. A przede wszystkim ta dal straszna, ta przestrzeń nieobjęta okiem, z kąd wieje cień jakiś od widnokręgu, tajemniczość tego, co tam po za tą linią siną dzieć się musi i dziwna tęsknota nieskończoności i przestrzeni. A wszystko to dzieje się na przestrzeni ćwiartki papieru, obraz jest 3 dcm. długi, a 11/2 szeroki. Na tak małym rozmiarze płótna potrafi się Trusz wypowiedzieć zupełnie. Obrazy jego robią wrażenie czegoś niezmiernie subtelnego, porównałbym je do sonetu w poezji. A sonetów takich ma Trusz bardzo wiele. Ze wszystkich wieje ten czar słoneczności, we wszystkich ta intuicja, która pozwala Truszowi widzieć wszędzie dookoła siebie rzeczy ciekawe, piękne, a nowe. Łąka Trusza przestaje już być czemś martwym, odtworzonym; kwiaty jego żyją, kwitną, kołyszą się, dzwonią, złudzenie jest tak wielkie, że kiedy patrzałem raz w porze zmierzchu na krzak lilij Trusza, zdawało mi się, że zaraz zamkną się śnieżne korony kwiatu, na sen i spoczynek kołysane podmuchem ciepłego sierpniowego wiatru.

Trusz jest wielkim poetą. Dlatego obrazy jego nie są tylko fotografią rzeczy widzialnych, ale wieje z nich jakiś czar głęboki i wyśniony, coś co jest poza formą, barwą i nastrojem, ale ogromnie jasne, spokojne i piękne. Naprzykład obraz taki:

Południe. Słońce całą rozlewną strugą żaru i światła, oblewa przestrzeń. Wszystkie przedmioty w tem oświetleniu występują jaskrawo i ostro. Zieleń drzew pod potokami światła dostaje srebrnych odcieni, ale największe zwanie światła skupia się na kościele, który pięcioma ostremi wieżami strzela ku błękitom. Słońce uderza o kościół, rozbija się, załamuje, spływa po wypukłościach muru, kładzie się smugami po szybach i pięć wież, tak jak pięć świec zapalonych, gore na tle blade niebieskiego nieba. Ten kościół świecący, niby w extazie modlitewnej, przestał już być obrazem, a stał się poematem. Jest on jakimś mistycznym łącznikiem między człowiekiem, który na marmurowych posadzkach szepce modlitwy zimnym głazom, a słońce wpadając przez kolorowe szyby, stroi mu głowę w tęczę różnobarwną, a tem niebem wiecznie zakrytem, od którego dzielą nas chmury, pioruny i gwiazd świecące światy. Ten kościół rośnie nam w oczach, skrzy się, zapełnia świat cały srebrem swych wież, przestaje być przedmiotem, a staje się tajemniczym symbolem wszechistnienia...

W malowaniu łąk, lasów i kwiatów posiada Trusz subtelność Taine'a. Oto obrazek, jakgdyby wzięty z Tainowskiej podróży do Hiszpanii. Jesień — małe ustronie leśne:

Krąg wody jakąś niewidzialną ręką
Rzucony między traw sploty na łące,
Całując falą kwiatów stopy drżące,
Utworzył w ziemi zatokę małą.

Codzień, gdy róże zapalą się świtu,
Przez traw gęstwinę, kwiatów wonne sady,
Cisną się rojnie owadów gromady
Do zgubionego wśród trawy błękitu.

I zaglądną do nieba ciekawie,
Które na fali pocałunki kładnie,
Widzą krąg słońca zatopiony na dnie.

A kiedy rosy rozperł się w trawie
Z kwiatów chylących kielichy nad tonią
Spadają krople i dzwonią i dzwonią...

Czy Trusz się dotąd już zupełnie wypowiedział, to rzecz niepewna. Możliwe, że z czasem jeszcze więcej pogłębi się, wysubtelni w szczegółach i pod względem formalnym wydoskonali, ale to pewna, że dziś jest Trusz indywidualnością wielką, nie naśladuje nikogo, jedynie ze Stanisławskim, który stanowczo wpłynął na rozwój jego talentu, łączy go pewne duchowe pokrewieństwo.

Na zakończenie pragnąc ochronić się od spodziewanych, a słusznych zresztą zarzutów zaznaczam, że w pracy w powyższej starałem się dać tylko garść wrażeń osobistych i pochwycić ze stanowiska mego odczuwania, istotę twórczości Trusza.

Edward Grieg

Muzyka jest matką wszystkich sztuk pięknych.

Będąc najdoskonalszą formą materii, ruchu, proporcji i uczucia, jest ona tak dawną, jak dawnym jest świat cały materialny i duchowy; jak dawnym jest człowiek i jego uczucia; — muzyka jest wieczna.

Z niej jesteśmy w stanie wyprowadzić, niby z pra-źródła absolutnego piękna, najpierwotniejsze zaczątki poezji, malarstwa i rzeźby. Rytm muzyczny tak różnorodny, a tkwiący we wszelkim ruchu, wykołysał na swoich falach najmłodsze dziecko, bardzo ukochane, i bardzo słoneczne — poezję; — harmonia muzyczna, którą spotykamy we wszystkich zresztą tworach natury, wydzwoniła i utrwaliła rzeźbę. Przypominam tylko Lessinga, który nazwał rzeźbę „Gefrorene Musik“. Proporcja muzycznych frazesów, jakaś idealna perspektywa dźwięków, wydała malarstwo. A nad kołyską tych trojga dzieci słońca i mroku, szczęścia i bólu, unosi się jak gwiazda świetlana, uczucie, wyssane z piersi matki — muzyki w zamierzonych jeszcze epokach tworzenia.

Sławny naturalista Oken powiada: „Muzyka, to odwieczny, przedbytowy ruch materii, według którego my sądzimy, że głos Boga odkrywa nam swe plany i najtajniejsze swe głębie odsłania. Bez wątpienia śpiew jest tak dawny, jak i mowa. Człowiek, zanim myślał i tworzył, odczuwał — a bezpośrednią formą uczucia jest dźwięk, ton,” — a Goethe dodaje: „Muzyka jest najcudowniejszym objawieniem Boga”.

Mimo tego znaczenia i potęgi muzyki jest ona najmniej cenioną ze wszystkich sztuk pięknych.

Ogół ludzi uważa ją bądź, jako miłe podrażnienie ucha po dobrej kolacji i winie, bądź, jako środek pobudzający strętwiąłe mięśnie do ruchu po śliskiej posadzce sali balowej.

A jej istota tak tajemnicza i niezbadana! A jej przepastne głębie, w których można utopić świadomość własną i czuć się tylko wszechistotą!

„Zostawmy to wybranym i szaleńcom” — powiada pan X. z pobłażliwym uśmiechem. Lecz kto ukocha muzykę taką, jaką jest w istocie, kto ukocha muzykę dla muzyki i zrozumie to cudowne misteryum dźwięków, tego przytuli ona do siebie, jak kochająca kobieta; odgarnie, jak dziecku, długie włosy z czoła i szeptać mu będzie w ucho dźwięczne melodye słonecznych upojen...

*

Chcę mówić o muzyku genialnym kompozytorze tak oryginalnym, że nie wywołał prawie żadnych naśladowców, — o człowieku, którego kiedyś w Panteonie narodowym umieszczą obok Ibsena. Ojczyzną mu Norwegia. Dziwny to kraj, górzysty, zimny, poszarpany przez morze, które wciska się gwałtownie w nadmorskie ugory, tworząc fantastyczne zatoki i przylądki.

Ubogie rzadko zaludnione wioski, rozrzucone w wąwozach i dolinach, tułają się do tej kamiennej piersi gór — staruszków, pokrytych od wieków siwizną białych śniegów. Północne zimne wichry szaleją tu przez cały prawie rok, wygrywając rozpaczne melodye pod niebem jasno błękitnym, wypłowiałym, szarem. A dodajmy do tego: to morze tak często niespokojne i wzburzone, które uderzając o brzegi, pluszcze miarowo, monotonnie, nudnie — morze melancholii i zniechęcenia wiecznego smutku i wiecznej tęsknoty! A przy akompaniamencie tego morza i łkającego wichru, odzywa się od czasu do czasu smutny, rzewny głos fujarki pastuszej, niesiony echem coraz dalej i dalej, albo namiętny taniec ludowy, naprzemian wesoły i smutny.

Niema tu europejskich praw formalistyki, łagodzącej i osładzającej wszelki wylew uczucia. Norwegczyk, kiedy płacze, to nie łapie łez na chusteczkę i nie liczy, ile się ich już wylało, a ile jeszcze ma w zapasie, ale łka rozpacznie na cały głos, objawszy głowę rękami...

Z takiego kraju i z takich ludzi pochodzi Edward Grieg, urodzony w roku 1842 w mieście Bergen. Miejscowość ta, położona nad brzegiem morza, owiana jest jakimś mistycznym urokiem średniowiecznej tradycji, jakimś dziwnym ukochaniem zamierzchłych, świetnych czasów, epoki fantastycznych zamków, bronionych przez smoki i olbrzymów i rycerzy, którzy rano mordowali ze spokojem zbłąkanych wędrowców, a wieczorem śpiewali pod oknem swej kochanki piękne pieśni o miłości i kochaniu.

O młodości Griega wiemy niewiele. Zapewne w noc jakową, w noc cichą, zadumaną, miesięczną, kiedy niebo rozszło się gwiazdami, a świat rozdzwiewał ciszą, — podczas takiej nocy, w której odbywają się dziwne, święte, a nieprzeczuwane misterya, — po promieniu światła księżycowego spłynął biały anioł, a zawisłszy nad kolebką śpiącego dziecięcia, włożył mu w duszę lutnię złotostruną, na której dotąd nikt nie grał, prócz aniołów niebiańskiej kapeli. A potem rozpałił mu w sercu jedną z gwiazd lśniących na nieskończonych przestworach i złożywszy pocałunek na białym czole dziecka, odszedł w poświęceniu promieni hen... ku gwiazdom.

Matka, zbudziwszy się w godzinę później, żegna się z obawą i wiarą, a rano rozpowiada, że ogarnął ją po północy jakiś dziwny sen, w którym słyszała cudne melodye sfer niebieskich, podobne graniu organów w zadumanych kościołach i czuła dokoła siebie jakąś błogą, uporczywą woń lilij białych.

„To było w śnie — może nie w śnie.”

Zapewne później, jako chłopiec, uganiał po górach ojczystych i zrywał kwiaty dziwiąc się, że one nie płaczą, kiedy się je odrywa od łona matki rodzicielki w dobie rozkwitu i pierwszej młodości, — zasluchany w tęskne tony fujarki pastuszej, która tysiącem ech tajemnych przechodzi się po górach, jarach i wąwozach, łącząc się ze szmerem strumieni, morza szumem i łkaniem wichru w jakąś symfonię natury tajemniczą, a wielką. Wieczorem, kiedy zachód zapalił śniegi, na szczytach górskich i rozrzucił czerwone snopy swych warkoczy na nieskończone przestrzenie morza, siadywał na nadbrzeżnej skale i oparty na dłoni, słuchał tego monotonnego plusku morza, które całuje co wieczór na dobranco poszarpane brzegi ziemi.

Zapewne były chwile, kiedy rozgrzała mu się złota lutnia w piersi i stawał nieruchomie zasluchany w siebie z zamkniętymi oczyma i zapartym oddechem.

O święta chwilo zachwycenia! O tajemnicze misteryum ducha!...

Zapewne... O młodości Griega wiemy bardzo mało. Nie chcę przytaczać jakichś błahych, a rzekomo ważnych szczegółów, które wymyślają skrupulatni biografowie wielkich ludzi, aby mieć czym zapełnić tysiąc kartek swego cennego dzieła. Jeden z najzdolniejszych uczniów konserwatorium lipskiego, kończy studia muzyczne w Kopenhadze pod okiem Gadego, Nestora nowszej muzyki norwęgskiej.

Komponować zaczął bardzo wcześnie, rozpoczynając, jak zwykle, od lirycznych piosenek i mniejszych utworów fortepianowych. Chwila, w której wystąpił młody kompozytor północy, była bardzo ciekawą.

Epoka muzyki nowoczesnej, poprzedzona wystąpieniem takich kolosów ducha, jak Bach, Mozart, Beethoven, zapowiadała się świetnie. Młodzi mistrze, kształceni na tak świetnych wzorach, jakie pozostawiła ta nieśmiertelna trójca klasyczna, jak niegdyś prorocy romantyczni, czekały ich wielkie tryumfy i wielkie upokorzenia. Zadanie ich było już nieco łatwiejsze, niż poprzedników, którzy musieli dopiero torować sobie drogę w niebotycznych krągach muzyki średniowiecznej.

Śpiew jednogłoskowy starożytności, harmonia średnich wieków — połączyły się w nierozrwalną całość i doszły do możliwej doskonałości. Jedynie forma nie była jeszcze zupełnie rozwiniętą i ona głównie stała się polem popisu dla młodych muzyków.

Toteż cyzelowali oni formę muzyczną z ogromnym zamiłowaniem, tworząc prawdziwe cacka muzyczne.

Wtedy wyśpiewała nam wiecznie łkająca tęsknica Chopina swe Nokturny, Ballady, Scherza, Impromptus, Walce i Mazurki; wtedy rozdzwięczała się zadumana dusza Schumannna w „Karnawale” i misternych „Albumblätter”; wtedy to rozczuliła się wezbrana uczuciem pierś Schuberta w tysiącach pieśni, wtedy to pochwycił Wagner złoty róg rycerza Graala i grał na nim dziwne, zamierzchłe dzieje i niesłyszane dotąd melodye. Dodajmy do tego ten idealny „canto” Mendelssohna, błyskotliwość Liszta, karkołomność Paganiniego, a będziemy już mieli zupełny obraz tej bogatej i tak ciekawej epoki muzycznej. A potem? Potem nastąpił czas zupełnego wyczerpania, epoka naśladownictwa, zastój, nieprzerwany żadnym świeżym powiewem, żadnym nowym drgnieniem. Coraz więcej mnoży się wykonawców i wirtuozów, którzy co prawda, szerzą znajomość muzyki u publiczności, ale brak zupełny genialnych twórców... Okres ten trwa, na szczęście, niedługo. Znowu tak jak w dramacie, malarstwie i rzeźbie odezwał się z północy, gdzie się najmniej tego spodziewano, jakiś groźny pomruk, zwiastujący pochód nieznanymi, niewidzianymi dotąd olbrzymów... Pomruk ten odbił się głośnie echem o skały Norwegii i rozszedł się po całą Europie, budząc ją z chwilowego snu i odrętwienia.

Zrazu zaczęto lekceważyć tych ośnieżonych nowotworów północy, ale później musiano się z nimi liczyć.

W takiej chwili rozpoczął swą karierę muzyczną Edward Grieg. Zupełna oryginalność w traktowaniu inwencji, niezwykle piękna harmonizacja, świeżość motywów opracowywanych i forma misterna od razu zwróciły na niego uwagę muzycznego świata. Po utworach wokalnych i fortepianowych przyszły z kolei rzeczy orkiestralne na większą skalę i tu znów okazał się Grieg mistrzem instrumentacyi. Kto słyszał jego symfonię do pięknego poematu Ibsena „Peer-Gynt”, ten wie, jak Grieg opanował orkiestrę, jak zna jej wszystkie tajemnice i jak umie stwarzać zupełnie nowe kombinacje dźwiękowe. Dorównuje mu ze współczesnych jedynie francuski kompozytor Saint-Saëns twórca znanego powszechnie „La danse macabre”. Dorobek duchowy Griega ilościowo nie jest dość wielki — dotychczas skomponował on około 80 opusów: w liczbie tych 100 piosenek, 10 zeszytów lirycznych utworów fortepianowych, 3 mniejsze oratoria Sigurd Jorsalfar, Olaf Trygvason, Przed bramą klasztorną, parę utworów symfonicznych, uwertur i jeden koncert fortepianowy a-moll.

Są to prawie wszystko rzeczy przecudne o ogromnej wartości muzycznej i nawskróś oryginalne. Dość rzucić okiem na chronologiczny spis jego utworów, aby poznać, jak wszechstronnie pojmuje on muzykę. Używa wszelkiej znanej dotychczas formy muzycznej, nadając jej zawsze jakieś odmienne, indywidualne piętno; próbuje swych sił we wszystkich działach muzyki wokalne, fortepianowej, symfonicznej i kameralnej... Chwilami opanowuje go chęć bawienia się tonami tak, jak i poeci nieraz igrają z rymami — wtedy naśladuje umyślnie dawniejszych mistrzów jak n. p. swego profesora Gadego, al-

bo, dorabia genialny akompaniament na drugi fortepian do sonat Mozarta, które przez to nie tracą nic na uroku, ale stają się nowszymi.

Najwięcej jednak utworów napisał na fortepian, więc z tego tylko punktu będą wybierał charakter i główne cechy jego twórczości.

Fortepian to cudowny instrument, który opanował on zupełnie, zna jego wszystkie tajemnice, ukryte dla profanów, zbadał całkiem dokładnie psychologię i charakter tego trójnożnego, grzmiącego potwora z wnętrzem najeżonym gęsto strunami, w których drzemią jego uczucia, tak różnorodne i tak sprzeczne, czasami grzmiące, jak trąby Archaniołów w dzień Sądu, to znowu miękkie, łagodne i słodkie jak słowo „kocham”... w ustach umiłowanej kobiety. Dla Griega nie istnieje prawie klawiatura, na której można wygrywać brylantowe pasaże i waryackie sztuki.

Przystępuję teraz już wprost do najważniejszej kwestyi: co stanowi właściwą i charakterystyczną cechę utworów Griega, w czym polega urok i czar tych dziwnych kompozycji, różniących się tak gwałtownie od wszystkiego, cośmy dotąd słyszeli i jakich pierwiastków możemy się doszukać, wgłębiając się uważniej w jego utwory... Zadanie to nie jest łatwym. Griega mało ludzi rozumie, a jeszcze mniej odczuwa. W muzyce jego odzywają się zawsze trzy zasadnicze pierwiastki: a więc naprzód to ukochanie ziemi ojczystej z jej nagimi skałami i wiecznie szumiącym morzem, ukochanie tej dzikiej, fantastycznie pięknej natury, gdzie w każdym tworze drzemie ukryta, surowa i groźna myśl Stwórcy, ukochanie rozpacznie smętnych lub dziko wesołych piosnek tego ludu. Przejdźmy utwory Griega — we wszystkich przewija się jednym pasmem motyw ludowy norwegijski, który nadaje im naturalne piętno. Nie mówimy tu o licznych utworach, które są tylko transkrypcjami pieśni i tańców ludowych, ale motyw ten dźwięczy nawet w tak ściśle określonych formach utworach jak Nokturn, Ballada, Sonata. Stąd to nadmierne nieraz używanie kwintowych akordów i prowadzenie nimi melodyi, które jest jak wiemy, charakterystyczną cechą tańców i melodyj ludowych u wszystkich prawie narodów. A przede wszystkim smętny głos fujarki pastuszej na górach i monotony plusk morza, zmywającego brzegi — fujarka i morze to dwa tony nastrojowe, które są jakby tłem jego utworów. Używanie ich nadaje kompozycjom jakieś monotonne zabarwienie zwłaszcza, że Grieg lubi jeden motyw powtarzać kilka razy. Jest to zupełnie naturalne. Grieg żył się prawie w młodości z tem morzem i tą fujarką, które w duszy jego pozostawiły niezatarte niczem wrażenie, tak jak i smutek i melancholia ziemi polskiej oddziaływała tak bardzo na duszę Chopina.

Z tego, że Grieg jest tak bardzo narodowym, nie wynika bynajmniej, aby brakło mu indywidualności genialnej, która sama z siebie, nie opierając się na niczem zgoła, tworzy potężnie i oryginalnie. Narodowość to tylko jedna ważna cecha tej muzyki, na którą składa się więcej pierwiastków równie ważnych. Drugą cechą jego muzyki jest bezgraniczny smutek, rozpacz i tęsknota duszy, która rwie się do słonecznych pól, tęskni za nieznanymi światami, wyciąga dłonie do swych snów i marzeń nigdy nieureczywistnionych.

A tymczasem szuka i szuka dróg, goni za tajemnicami, któreby mogły ją już tu na ziemi zbliżyć do wymarzonych ideałów...

Weźmy do ręki 10 zeszytów jego utworów lirycznych na fortepian. Dziwny to zbiór... Beładnie, bez porządku przewija tam się około sto drobnych kompozycji, różnych od siebie formą i treścią, ale owianych jednym i tym samym duchem tak, że jest między nimi ukryty i niewidzialny łącznik, duchowe pokrewieństwo i powinowactwo krwi.

Są tam śpiewne cacka, melodyjnością przypominające utwory włoskie, a zatytułowane skromnie „Melodye”; są filigranowe „Albumblätter” pisane zapewne w chwilach uspokojenia ducha; są rozpaczne Elegie, prowadzone chromatycznie i w łamanych akordach; są tęskne walce, skoczne pieśni i tańce ludowe, jest nokturn cudowny, w którym słyszy się najwyraźniej monotony plusk morza, opłukującego brzegi w noc księżycową, są menuety, ale jakieś północne, szorstkie, pozbawione francuskiej gracy — w tych jednak utworach cechy muzyki Griega nie są tak wyraźne, forma z góry już naznaczona, krępuje i zaciera myśl twórczą. Ale są tam jeszcze liczne ilustracje, lub poemata muzyczne z tytułami dziwnymi, jakie spotykamy tylko w poezji i na nie głównie chcę zwrócić uwagę. W nich dopiero przebija się Grieg takim, jakim jest w istocie, t. j. ogromnie głębokim i bardzo genialnym. Weźmy n. p. utwór najbardziej charakterystyczny p. t. „Tajemnica”. Rwąca, rozwichrzona fala płyną tony coraz szerzej i szerzej, w coraz pełniejsze i bardziej namiętne łącząc się akordy... czuć jakieś wrzenie nieznanymi sił, niby podziemne huki

we wnętrzu wulkanu, jakieś kotłowanie, niby w wirze wodnym, jakiś szum wzburzonych nurtów rzeki, co pieni się, pędząc z okropną siłą wciąż naprzód i naprzód — to tłum ludzi, który szuka na ziemi odwiecznej tajemnicy, zagadki wszechrzeczy i czuje wieczny rozdźwięk między swoją duszą, spragnioną podświetlonych lotów, a szarą rzeczywistością. I tłum ten, szukający po żmudnej tułaczce przez błędne ścieżki i rozłogi, gdzie wielu pada po drodze ze znużenia, okryty kurzem, spragniony spoczynku i ochłody, dochodzi wreszcie pod bramę zaklętego pałacu, gdzie kryje się przed okiem świata odwieczna tajemnica wszechrzeczy...

Na widok tej bramy potwornej, okutej żelazem, ogromnej, co broni przejścia, wściekłość ogarnia znużonych wędrowców, bunt ukrywany długo w piersi rozpala się nagle wściekle i ten tłum ludzi z okrzykiem przekleństwa rzuca się wzburzoną falą na żelazne wrzeczadze. Pod naciskiem tysiąca piersi potworna brama zaczyna okropnie trzeszczeć, chwiać się i kołysać w żelaznych zawiasach, aż wreszcie skrwawiona ludzkimi piersiami wali się z wściekłym łoskotem na ziemię, miażdżąc najbliższych. Okrzyk dziki tryumfu, który przedarł teraz fale powietrza, zamaluje się nagle, urywa i ginie bez echa. Dziwny... Fala ludzka, która wysunęła się już naprzód, gotowa do wtargnięcia w zaklęty pałac, staje bez ruchu, jak skamieniała i pochyłona w tył, niby morze kłosów pod powiewem wiatru. W ciemnym krążanku rozpada się nagle olśniewająca jasność... Fale, strumienie, potoki światła przedarłszy ciemną przestrzeń, uderzają gwałtownie w rozszerzone źrenice fale świetlne, zataczając potworne kręgi o tęczowych rąbkach, wysuwają się naprzód, jak stado obręczy. Morze — chaos, nieskończoność światła!!! Ze zbiegających warg wędrowców, najbliższych stojących, wyrzywa się mimowolny, bezwiedny szept: „Co to?” Te słowa dwa, podane w ciszy grobowej, rozchodzą się w tej fali ludzkiej coraz dalej i dalej, łączą się, zlewają, rosną, aż w końcu cały ten stutysięczny tłum w jakimś szale i obłąkaniu powtarza rozpaczonym, monotonnym chórem: Co to? Co to? Co to?...

A z potoków światła odzywa się słodki, śpiewny głos nieznanego bóstwa, który zlitowawszy się nad nędzą tłumy, wieści mu pożądaną i szukaną tajemnicę... A tłum z zaporą oddechem słucha słodkich słów bóstwa, co głosi mu rzeczy nieznanne i nieprzeczuwane. I w sercach budzi się jeszcze większa, bo cicha i beznadziejna rozpacz, bo czują, że między ich duchem, a słowami bóstwa, leży jeszcze ogromna przepaść, że nie mogą pojąć tych słów wyrzeczonych w godzinę cudu. I idą znowu tłumnie w dal niezmierną, szukając nowych bóstw i tajemnic bardziej zrozumiałych... Grieg, pisząc ten cudny utwór, czuł się zapewne jednym z tych nieszczęśliwych i to bardziej jeszcze, bo natura obdarzyła go subtelnym czuciem i wielką wrażliwością. Ten sam nastrój wiecznej tułaczki posiada i znany powszechnie utwór Griega „Samotny wędrowiec”, tylko nie ma już w nim tego buntu, ale raczej determinacja, że tak być musi, a nie inaczej... Są u Griega rzeczy wesołe, pogodne, słoneczne, jak n. p. „Na wiosnę”, gdzie pełno jest słońca, ptaszącego śpiewu, jakiejś błogiej ciszy i ukojenia... Albo „Ptaszki”, gdzie tak mistrzowsko podchwycił Grieg rozgwar ptaszącej rozmowy, gdy świt niebo zrumieni, albo „Strumyczek”, w którym słyszy się prawie gwarliwe sączenie się wody i plusk ryb na powierzchni ruchliwej. Żaden z kompozytorów nie potrafił w sposób tak prosty, sielankowy prawie zilustrować każdą myśl, ruch, lub najsubtelniejszy nawet nastrój ducha ludzkiego. W chwili, kiedy gram „Pochód karłów”, widzę prawie tych śmiesznych, małych ludzi z brodami, jak wykrzywiają pocieszne twarze i idą zwartymi szeregami, w chwili, kiedy gram „Taniec elfów”, dzwoni mi zaraz w uszach wiersz Tetmajera:

Od pól rusalki lecą,
We mgłach i wód oparach,
Ogniki łapią błędne
Po bagnach i moczarach.

Utwory Griega orkiestralne, a więc oratoria i symfonie mają już nieco odmienny charakter... bo oprócz wszystkich cech utworów fortepianowych posiadają one jeszcze dwie właściwości — nadzwyczajną instrumentację idealną prawie przez to, że nie czuć w niej zupełnie rozdziału między instrumentalni dętymi a smyczkowymi, tylko słyszy się jednostajną, cudowną symfonię rozszalałych dźwięków... a po drugie mają one charakter historyczny, średniowieczny, zwłaszcza, że ilustrują nam bohaterskie czasy Skan-

dynawii... Grieg, tak jak i Wagner ukochał te czasy dziwne, obce nam zupełnie, choć pełne czaru tajemniczego czasy wypraw i walk awanturniczych, turniejów, w których za uśmiech lub kawałek wstążki kochanki, miażdżono sobie piersi i odcinano głowy, czasy wiecznie fermentujące i burzliwe i rozwichrzone, w których zbrodnie najstraszniejsze mieszają się tak z czynami bohaterskimi, że trudno nam uchwycić różnicę między niemi, czasy biednych mocarzy, potężnych papieży, cnotliwych rozbójników, pobożnych rycerzy, rycerskich mnichów, olbrzymów woli i ducha alchemików i czarownic... świat bogaty, różnorodny i ogromnie nęcący swoją zgrozą i tajemniczością, świat, w którym rozsądek, zastanowienie, rozum schodzą na drugi plan, bo nad wszystkim unosi się nieokiełzana niczem fantazyja...

I dziwnem to jest, że Grieg człowiek zupełnie nowoczesny i postępowy, przeniknął dziwnie i przez intuicję charakter epoki średniowiecznej i że potrafił tak śpiewać, jak trubadur za czasów Karola Wielkiego... Forma, instrumentacja, sposób prowadzenia melodii tych kompozycji są zupełnie nowoczesne, a przecież tkwi w nich jakiś tajemniczy, mistyczny i zamierzchły czar. Na przykład oratorium, „Olaf Trygvason”. Naprzód modlitwa kapłana — modlitwa spokojna, pogodna, płynąca szerokim strumieniem w niebo... spokój ten jednak już po kilkunastu pierwszych taktach niknie... modlitwa wzrasta, potęguje się w wezbranej piersi kapłana, który zapominając o wszystkim popada w szal religijnej ekstazy i śpiewa coraz głośniejsze, — coraz błagalniej — coraz żarliwiej... potężna, wielka pieśń!...

A potem pogański jeszcze taniec kapłanek w świątyni, przy brzęku harf i rytmie kotłów; widać prawie te ciała nagie, nęcące, przeginające się lubieżnie, świecące od olejów matowym blaskiem, widać ten wir nóg, płasających w szale tanecznej ekstazy, co odurza tancerkę i widza i ciągnie go na kraj przepaści... A w piersi tchu nie staje od patrzenia, a kapłani monotonnie mruczą modlitwy, a grają wciąż harfy...

Albo oratorium „Przed bramą kościelną”. Przygrywka zupełnie Wagnerowska; wśród grania wicher słychać płaczący głos dziewczyny, co stuka o bramę klasztorną i błaga schronienia. A surowy głos altowy zakonnicy zadaje dziecku pytania... dziewczynka wtedy opowiada swe smutne dzieje...

Nastrój kolosalny, a melodie anielskie prawie... tak, jak i w symfonii do poematu Ibsena „Peer Gynt”...

Żałować tylko możemy, że utwory te wszystkie są nieco za krótkie.

Grieg pisze utwory krótkie, w których jeden temat, lub najwyżej dwa, bez zmian się powtarzają. Rozkochuje się on tak we własnych tematach, że w całym szeregu późniejszych utworów znajdujemy wyraźne reminiscencye znanych już melodii. Technika i forma jego kompozycji jest dość dziwna. Zazwyczaj dzielą się one na trzy części, do których dodane jest zwykle zakończenie. Pierwszy temat rozpoczyna, drugi rozsuwa myśl twórczą, po którym powtarza się zwykle bez zmiany pierwszy. Mimo tej systematyki w tworzeniu, wszystkie te kompozycje robią wrażenie rzeczy nieskończonych, szkicowanych zaledwie fragmentów jakiejś potężnej, pięknej kompozycji. Czuć w nich ciągłe dążenie do przełamania wielkiej formy i praw muzycznych, które krępią tylko wylew uczucia i w chwili, kiedy dusza się rozanieli i rozśpiewa, nakładają na nią niewolnicze pęta. Forma jak z jednej strony odpycha Griega, tak z drugiej nęci go bardzo. Ona nadaje utworom jakiś kształt bardziej uchwytne, ułatwia zrozumienie myśli i ma jakiś urok estetyczny, ona też ostatecznie zwycięża. Grieg kończy każdy utwór w należytem miejscu, ale widać, że drzemie w nim skłonność do rozsnuwania melodii w nieskończoność.

A jak niespodziewanem i tajemniczem jest zawsze zakończenie... W tych kilku końcowych taktach kryje się całe morze z ogromnymi głębiami i przepaściami, bogactwo myśli rozsada prawie te zawile i ciemne kombinacje akordów. Chcę jeszcze zwrócić uwagę na niezwykle i zupełnie nowe traktowanie lewej ręki. Dotychczas nawet u najwyższych mistrzów była lewa ręka w upośledzeniu, odgrywała ona tylko bierną rolę wtóru, akompaniamentu do tytanicznych wybuchów prawej. Grieg pierwszy wyszlachetnił ją, podniósł i należycie zrozumiał. U niego lewa ręka odgrywa równą rolę z prawą, a niekiedy nawet wyższe zadanie. Melodyja, powzięta prawą ręką, przechodzi dalej w lewą, potęgujesz się, wraca znowu do prawej, słowem zlewa się i łączy w jedną wielką kaskadę tonów, w której niema już żadnej różnicy między śpiewem a akompaniamentem. Obie ręce

grają pieśń, pieśń duszy stęsknionej, raz namiętą, jak granie krwi w noc dzikich szalów i upojeń, to znów zadumaną, jak Eloë, błędząca nocą po zapomnianych cmentarzach.

Edward Grieg to wielki muzyk, genialny kompozytor, najbardziej oryginalny z całej plejady nowszych muzyków, jedna z tych dusz wybranych, na które spłynęła łaska Ducha Świętego. Ma on także, jak wszyscy genialni twórcy, krótkie chwile wyczerpania, kiedy tworzy rzeczy zwykłe i sztuczne. Kompozycje jego wskutek tego, że na wszystkich wycisnęła piętno indywidualność twórcy — wydają się nieco monotonne i podobne do siebie. Ale kto raz zgłębi i zrozumie Griega, ten zawdzięczać mu pewnie będzie wiele chwil pięknych, w których dusza uniesiona na skrzydłach melodi, jak ptak, zawisa w podświetlonych regionach...

Zresztą, żeby dzieło sztuki zrozumieć i przeniknąć zupełnie trzeba je przedtem ukończyć. Miłość dopiero otwiera nam bramę do tego cudownego pałacu kryształowego z baśni i podań i okazuje nam wszystkie ukryte w nim skarby. Wtedy to sztuka staje się jakimś świętem misteryum cichych zachwytów, łagodnych uniesień i słonecznej ekstazy, w której rozłącza się nasza istota...

Ile razy usłyszę jaki natchniony utwór muzyczny, zdaje mi się, że na ołtarzu sztuki spełnia się jakaś mistyczna, piękna, święta ofiara, w której kapłanem jest stwórca, ministrantem wykonawca, a publiczność tłumem nabożnych, który mszy słucha. Lecz biada temu, kto modli się z książki, lub tak, jak go matka nauczyła. Kto pragnie, aby i na niego spłynął choć jeden promyk tej świętej łaski, która w chwili podniesienia duszy otacza kapłana — musi otworzyć szeroko podwoje złociste swej duszy i modlić się tak z całego serca, naturalnie, po prostu...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zbierzchowski-impresje>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Zbierzchowski, Impresje, nakł. Księgarni D.E. Friedleina, Kraków 1902.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródeł wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: John Fowler, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-1079-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.